WIEŚ



KWIECIEŃ

1934

1

WIEŚ

MIESIĘCZNIK POŚWIĘCONY ZAGADNIENIOM MYŚLI I KULTURY WIEJSKIEJ

ROK I. KWIECIEŃ 1934. Nr. I.

Numerem dzisiejszym rozpoczynamy wydawnictwo czasopisma, które będzie skupiać w sobie, w miarę rozwoju, wszystko co dotyczy zagadnień myśli i kultury zrodzonej z ziemi.

Zadaniem naszego pisma jest wypracowywanie idei, która ma ogarnąć całokształt życia wsi polskiej i przerzucić się ku nowej rzeczywistości polskiej.

Wielka i trudna czeka nas praca — dokonać jej możemy tylko wspólnym, czujnym i wytrwałym wysiłkiem.

Wzywamy wszystkich, którym te — nad wyraz ważne sprawy życia narodowego leżą na sercu — do współpracy.

Nie zapowiadamy wiele; — chcemy pracować; czyn jest ważniejszy niż chęć i słowo!

Wspomóżcie nas życzliwem: Szczęść Boże!

REDAKCJA.

EMIL ZEGADŁOWICZ

DROGOWSKAZY

Pragnę w pierwszym artykule naszego pisma wypowiedzieć szereg myśli, które nasuwają się nieodparcie ilekroć dotknąć mi trzeba problemu wsi i jej mieszkańców.

Oczywiście niesposób w jednym, dwuch, czy dziesięciu nawet referatach ująć ten niezmiernej wagi całokształt zagadnień łączący się bezpośrednio z zagadnieniem ziemi (jako normującem w najwyższej mierze sprawy społeczne i ekonomiczne naszego kraju), oraz z pojęciem olbrzymiej masy, bezpardonowej większości narodu polskiego jaką jest rdzennie polski chłop.

Poruszone tu przezemnie myśli będą raczej potrąceniem niż rozwiązaniem problemu; — wszystkich, którym te sprawy tak niezmiernie ważne leżą na sercu, proszę o współpracę i wypowiedzenie się na łamach »WSI«; jedyna to droga prowadząca do wyświetlenia i skonkretyzowania zagadnienia. Bez zbytnich wywodów historycznych można śmiało rzec, że zasadniczo niewiele robiło się i — Bogiem a prawdą — nie wiele robi się, aby poznać t. zw. ducha ludu (wsi, ziemi), aby, poznawszy, ducha tego w formę narodową kształtować — idąc ku niemu od jego myśli, od jego odczuwań, od jego układu psychicznego, od jego, zaprzepaszczonej w naszej świadomości niwelizacją ogólnoeuropejskiego inteligentyzmu, odrębności. Wszystkie teorje, zzewnątrz czy zgóry narzucane, są tu nietylko nicwarte ale wprost szkodliwe; jedna tu tylko może być mądrość postępowania, ta mianowicie, która nam każe iść do ludu od ludu, ta więc, która oparta jest na znajomości, na współ-życiu i współ-czuciu z chłopem. Wszystkie inne sposoby i sposobiki, które nazwę fanaberjami inteligenckiemi — spalą na panewce; pierwej

czy później okażą się drogą fałszywą, ulicą ślepą, z której niema wyjścia (nie mówiąc już o szkodzie jaka płynie z zahamowania prac, już lepiej nie iść niż się cofać).

Cóż to się działo z chłopem po jego wyzwoleniu? — z niewolnika stał się parjasem na długie lata — później zaczęto zajmować się nim z amatorstwa i z tego jakiegoś pseudoromantycznego pociągu do (pożal się Boże!) sielskości, do prostoty, do czegoś pierwotnego; przypomina to fałszywie pojęte misje wśród narodów t. zw. dzikich.

Na tym, wcale nie ciekawym szlaku zastanawiającą rzeczą jest fakt, że w tych, już to pomylonych, już to nieskoordynowanych działaniach — poezja i sztuka wyprzedziła pracę rozumnego i racjonalnego spojrzenia i działania. Wszakże odrodzenie wspaniałej poezji i myśli narodowej zrodziło się z ballad Mickiewicza opartych o — poraz pierwszy żywą — ludowość. Wewnętrzne (i niemniej też ważne zewnętrzne) życie ludu, wtedy odkryte, trwa po dziś dzień; — w poezji i sztuce współczesnej istnieje wszakże prąd mocny i głośny, który doszukuje się w motywach i »podejściu« ludowem nowego, odrębnego wyrazu sztuki i myśli polskiej; wspomnijmy tylko w poezji: Wyspiańskiego, Tetmajera, Kasprowicza, Orkana; w malarstwie: Stryjeńską, Skoczylasa i jego szkołę; w zakresie muzyki wręcz formułuje Maklakiewicz takie zdanie: »najmocniejszym prądem wśród współczesnych twórców polskich jest idea stałego kontaktu z twórczością genjalnego Fryderyka Szopena. Z owoców tej idei kształtuje się powoli t. zw. styl polski, oparty na rdzennych pierwiastkach motywicznych ludu i na jego charakterystycznych odrębnościach (»Harnasie« Szymanowskiego)«. Aż wreszcie uderzyć tu należy w najwyższy ton wizji teatralnej »Wesele« Wyspiańskiego. Poza genjalnie transponowaną formą jasełkowo - szopkową, rzuca tam Wyspiański gruntownie i lapidarnie wyrażoną myśl: »chłop potęgą jest i basta«!

I jest tą potęgą przez swoją niczem i nigdy nienaruszoną rodowość, przez piękno dawnego, a tak podziś dzień, mimo tysiąca wpływów i przeciwności, zachowanego tradycjonalizmu, przez swoją masę wreszcie — sięgającą piętnastu miljonów.

Jest potęgą — lecz nie ujętą w łożysko wspólnej świadomości i wspólnego wysiłku, potęgą raczej żywiołu niż myśli zorganizowanej — a wiemy, że wszelki żywioł może być dodatni i ujemny — ujemny jest przez swoją nieuregulowaną siłę — dodatnim się staje gdy jest sharmonizowany. A stała się w naszych dziejach rzecz groźna, która, jak zmora, zawisła nad wsią polską: oto, podobnie jak organizację zastąpiła praca dorywcza, tak polityka wyprzedziła wychowanie.

Zanim zdołano sobie zdać sprawę czem jest chłop, jaki jest jego układ psychiczny — zanim (a przecież prawie nie próbowano tego!) podciągnięto go niejako ku świadomości pełnej — stanowej, rodowej, narodowej, państwowej — zrobiono z tej rzeszy — rozpolitykowanych tanio chłopów — gromadę wyuczoną krótkich haseł, idącą na miodny lep demagogji, za którą nic realnie wielkiego się nie kryło — demagogji, co grążyła masy w nieporadności zakłamanej i wręcz szkodliwej.

Należy powtórzyć z naciskiem, że bardzo zgrzeszyli ci, którzy, nieuświadomioną i niewychowaną na szerokiej idei wieś pchali w politykę.

Dla świadomego obywatela jest tylko jedna polityka: wierna służba ojczyźnie.

Dziś — w epoce, którą przeżywamy — nadeszła pora właściwa, aby to, na dnie ducha chłopskiego wiecznie przyczajone oczekiwanie, wypełnić rzetelnym wysiłkiem; aby wielką kulturę wsi wskrzesić: aby ją podnieść do godności kultury narodowej; aby uczciwą ludzką pracą zbliżyć ten wspaniały, lecz — tak słusznie zresztą — podejrzliwy i na swój mądry rozum zdany element — ku świadomości, że z chłopa, że z wsi, że z ziemi — wyjdzie nowe odrodzenie, nowe pokrzepienie sił, nowe prawo i nowa prawda, że z zastępów wielkiej masy ludowej wyłoni się pierwej czy później rząd państwa i rząd dusz — ten rząd dusz, o którym tak trafnie i przekonywująco mówił Mickiewicz.

Idąc po linji tego — bezsprzecznie jednego z najważniejszych na froncie narodowej świadomości zagadnienia — myśl nasza zatrzymuje się siłą faktu i konieczności na tej — skłonnej wszelkiemu dobru i pięknu warstwie i zastępie: młodzieży ludowej.

Należy i musimy z pobłażliwą wyrozumiałością przejść obok starszyzny — aby, wsparłszy się na elemencie młodzieży, wydobyć z niej największy zasób nowych sił i nowych mocy, mądrem i przezornem wychowaniem.

Spędziłem dzieciństwo wśród pasterzy beskidzkich, współżyłem z chłopem przez całą młodość i — z przerwami - wiek męski; szczycę się tem, że znam tę duszę i wiem o niej dużo; gdy dodam do tego doświadczenie płynące z dziejów, gdy wciągnę w rachunek odrębność słowiańską i jej idee tolerancji, idealizmu i wielkich osobliwości artystycznych — wypadnie mi w sumie wniosek, który dla mnie jest wiarą, pewnikiem i drogowskazem: że rozwiązania zagmatwanego splotu zagadnień społecznych dokona chłop! W nim też widzę potężny, wyraźny i jawny zadatek przyszłych kształtujących się kultur i — krocząc gościńcem tych dociekań — widzę na końcu zmierzch wybujałego kapitalizmu i zbytniego urbanizmu — przeczuwam powstanie nowych ośrodków świadomej współpracy i współżycia z ziemią.

Taką widzę przyszłość Polski, zbudowaną na historjozofi ładu i pracy, wspartą o ziemię, o ten najbardziej słowiański dogmat życia, w rezultacie o człowieka ziemi — o chłopa!

Dlatego to za jedną z najważniejszych prac na froncie narodowym — prac o wielkim przyszłościowym zasięgu — uważam pracę nad młodzieżą ludową, która werwą i zapałem podsyci myśl, dążącą do uświadomienia sobie w ludzie jego dziejowej misji.

Idzie tu więc znów o rząd nad duszami tych młodych, z dnia na dzień dorastających, zastępów.

Niejeden, czytając moje wywody, orzeknie w sobie, że przecież z uzdolnień predestynowany jestem, aby przeceniać zagadnienie kultury, poezji, sztuki; otóż nie! mnie idzie o wyłaniające się w takim trudzie, po tylu ofiarach i mękach — oblicze Polski! Oblicze nowe, oblicze odrębne; idzie mi też bezsprzecznie o mądrą dumę, aby ta — na podziw świata — mająca się wyłonić myśl polska — była wielka, cenna, aby do skarbca ludzkości dorzuciła klejnot błyszczący jak słońce podczas żniw — a to stać się może nie przez naśladownictwo i chęć dorównania Europie, lecz przez świadome wypracowanie nowego wyrazu w dziejach świata.

A wypracowanie to nowych dziejów może iść tylko po linji ludowości i na niej oprzeć się musi. Na niczem innem, na niczem ważniejszem oprzeć się nie może, bo tego »innego« niema!

Proszę mnie nie posądzać o jednostronność i jakieś — jak się to z przekąsem mówić zwykło »poetyckie na świat spojrzenie«. Pamiętam przecież dobrze zdanie wielkiego odnowiciela szlachetnych rzemiosł — Morrisa, który na zapytanie, co uważa za najpiękniejszą ozdobę izby robotniczej i chłopskiej, odpowiedział »połeć słoniny«. Znaczy to, że sprawy ekonomiczne, zagadnienia dobrobytu, muszą być załatwione pomyślnie, że są to sprawy najpilniejsze, że gospodarka wiejska powinna być wzorowa, że dochód z ziemi musi być siłą konjunktur pracy zwiększony i t. d.

Ale równorzędnie i równocześnie brońmy pięknej postawy psychicznej człowieka ziemi, brońmy kultury rdzennie polskiej, która tylko w ludzie tkwi — brońmy uczciwej ludzkiej moralności, brońmy myśli zdrowej — tego chłopskiego rozumu, który jest i intuicją i rozwagą zarazem, przerastającą niejednokrotnie systemy filozoficzne — brońmy powagi człowieka — a obok tego i obyczajów, zwyczajów, obrzędów, strojów, poezji, pieśni i melodji ludowych. Toćże to zgroza, że dziś wśród opłotków, na miedzach i grapach, zasłyszysz często nie za serce chwytającą pieśń ludową, lecz liche jakieś »przeboje«! Na szczęście, jest to jeszcze — narzucona przez nierozsądek — zewnętrzność, z którą musi się zrobić koniec! I zrobimy! Bo i nacóż ten trud Glogerów, Kolbergów, Kamieńskich — wiernych zbieraczy pieśni i melodji? W muzeum to ma spoczywać dla pyłu i moli? Dusza polska chce polskiem powietrzem oddychać, chce polską pieśnią śpiewać, smucić się i radować — i twórcze, zasobne, pracowite życie chwalić.

W pierwszym więc rzędzie musi się ten rząd dusz oprzeć na umykającej nam z rąk kulturze ludowej — tej kulturze, która swą tradycją i osobliwością winna stać się najcharakterystyczniejszem znamieniem polskości; bowiem nie w internacjonalnych dorównaniach tkwi sens historji — lecz w tem co dany naród nowego i odrębnego stwarza; podobnie jak swoistości regjonalne, które zawsze uczcić należy, składają się na obraz całego narodu, tak swoistości poszczególnych narodów składają się na wielką symfonję ludzkości.

Profesor Bystroń mówi słusznie o tej kulturze, że będąc przeżytkiem dawno minionych epok, ginie szybko z chwilą gdy wieś zaczyna brać żywy udział w życiu całego kraju. Wy-

wodzi w dalszym ciągu, opierając się na realności chwili bieżącej: »wieśniak wychodzi poza granice swej wsi jako żołnierz lub jako robotnik, poznaje inne okolice, czasami i obce, zamorskie nawet kraje, emigrując za zarobkiem na drugą półkulę, przyzwyczaja się do miejskiego życia, a co najważniejsze, zmienia swe dawne pojęcia i uczy się patrzeć na świat z innego niż dotychczasowego, tradycyjnie wiejskiego punktu widzenia. Wieś szybko się zmienia; ginie stara kultura ludowa, oparta na ograniczeniu się do tradycji ustnej i zamknięta dla wpływów zewnętrznych; włościanin staje się współuczestnikiem ogólno—polskiej kultury. Kształci się coraz więcej, a zarazem występuje w roli czynnej. Zdolni synowie włościańscy kończą wyższe studja i zwiększają kadry zawodowej inteligencji miejskiej, zajmując nieraz najwybitniejsze stanowiska; wśród wielkich twórców na polu nauki, czy sztuki spotykamy coraz to częściej nazwiska ludzi, którzy z ludu wyszli i własną pracą wywalczyli sobie zaszczytne uznanie«.

I tutaj właśnie dodać należy gwałtowny apel — aby to — jeśli tak można powiedzieć, emigrowanie w kraj podniesionej inteligencji nie było ucieczką od wsi i od ziemi — lecz podniesieniem tej wsi i tej ziemi do idei kształtującego i wytycznego elementu i myśli prawdziwie w wielkim stylu państwowotwórczej.

Nie mogę tu mówić o całym splocie robót organizacyjnych, które poprzez oświatę i kulturę do tego wielkiego celu wiodą, podkreślić jeszcze jedynie pragnę fakt istnienia idei. Fakt pierwszorzędnej wagi!

Tyle się dziś mówi o braku myśli przewodniej w poczynaniach na wielu polach od społecznych zagadnień po zagadnienia artystyczne, a otóż przecie jak kwiat wyrasta nam z rąk wielka, twórcza, zrodzona z ziemi idea pracy, nieustannej, niezmordowanej pracy, zawarta w wskazaniach Józefa Piłsudskiego.

Pragnąłbym, by ten okres naszej epoki nazwano właśnie okresem pracy, okresem wysiłku, okresem budowania —;— dążąc do harmonji – tak znamiennej okresom wielkim, widzieć należy najwyższy wzlot naszej współczesności w połączeniu idei pracy fizycznej z pracą kulturalną. Wszelkie niebezpieczeństwo zbytniego zmaterjalizowania znika przed świadomą kulturą myśli i kulturą uczuć.

Praca oparta na rozumie i uczuciu – na mózgu i sercu—oto droga wiodąca do Wielkości Narodu.

DZIEWIĘTNASTY MARCA

Ilekroć rozważam w dniu tym świątecznym imienin Marszałka Józefa Piłsudskiego życie jego i czyn, staram się znachodzić momenty istotne i dydaktyczne — aby przecież uniknąć kreślenia jedynie linji żywota i wypadów panegirycznych — co jest zawsze obniżeniem tonu.

Najszczęśliwiej pod tym względem ułożył się rok, w którym czciliśmy Wyspiańskiego — bo wtedy można było przeprowadzić zdumiewająco trafną analogję pomiędzy czynem Piłsudskiego i czynem Wyspiańskiego.

Lecz i dzisiaj nastręcza się osobliwie dogodna chwila, aby poddać choćby najpobieżniejszemu przeglądowi najautentyczniejszych etapów psychiki — czyli postawy duchowej — która doprowadziła nas do wolności, państwowości i postawiła nas — przez uchwalenie konstytucji styczniowej — u progu nowych dni.

W takiem rozpatrywaniu analitycznem i historjozoficznem ujrzymy wyraźnie, że czyn Piłsudskiego, że cały wykwit jego myśli, słowa i działalności jest kontynuacją wielkich przykazań politycznych, których początek znajdujemy w dziełach naszych wielkich poetów romantycznych — czy to będą znane powszechnie »mierz siły na zamiary«, czy prośba o wojnę narodów, czy owo poczucie ciągłości dziejów ujęte w ideę »Króla Ducha«, który idzie przez historję ciągłemi wzwyżeniami — wszędzie widzimy to jedno: w o l ę wolności, w i a r ę w istnienie, aż po te nie dające się już rozumem skontrolować zagadnienia raczej już wyznaniowe, które zwą się już-to przeznaczeniem, już-to dziełem opatrzności. Czyż te zagadnienia woli i wiary nie są najistotniejszym bodźcem czynu Piłsudskiego — czyż nie wola i wiara

kształtuje całe jego tak żmudne, a tak wyniesione życie? — oczywiście tak! I tutaj w tem właśnie miejscu dotykamy najgłębszych pokładów duszy polskiej — tak różnych od pokładów np. konserwatyzmu angielskiego, pozytywizmu niemieckiego, entuzjazmu francuskiego — u nas motorem dziejów, siłą zapędową wielkich czynów było — aż dziw powiedzieć! — marzenie i romantyzm, czyli elementy irracjonalne. Po wielekroć sprawdza się w historji naszej zdanie, że co nie przeszło przez marzenie poparte wolą, nigdy nie stało się czynem. Od insurekcji Kościuszki, aż po rewolucję 1905 roku — możemy to przykładowo obserwować; (nie wszystkie oczywiście czyny tu były udane), aż nadszedł rok 1914, w którym wcielenie haseł romantycznych przybrało na się kształt Komendanta i garstki jego idei oddanych ludzi — dwadzieścia lat temu wyszli z Krakowa ku granicy rosyjskiej — i czyż nie jest to olśniewający cud i czar potęgi romantycznej, że doszli po 20 latach do mocarstwowego, zmontowanego państwa? A tak się przecież stało.

I dla tego to wynniku czcimy w Piłsudskim dzieje Polski, czcimy w nim dziejów tych kontynuację — jest dla nas żywym symbolem zwycięskiego zamknięcia jednej epoki życia Narodu. Za sto czy stopięćdziesiąt lat, gdy już nasze dzisiaj będzie zamierzchłą przeszłością — układ historji polskiej będzie zupełnie inny, zgrubsza będzie to tak: okres rozkwitu do końca XVI w. poprzez Jagiellonów po Batorego — zanik ekspansji idący poprzez Wazów, Sasów po Poniatowskiego — zanik i obniżenie, które wyda smętny okres niewoli, zamknięty wspaniałym nawrotem po wiek XVI — dzięki czynowi Piłsudskiego.

Tak więc jest ziszczeniem, sumą i kwiatem wieków ten, który w zaraniu swych dni rzekł: »Ojczyzny nieśmiertelnej serce wielkie niech słyszę ciągle w sobie bijące.«

Ze ziszczenia stał się legendą życia, a z tej właśnie legendarnej aureoli wyrasta postać nauczyciela — postać znaczna.

Dla ludzi małych duchem — a przecież takich jest zawsze przewaga w każdym narodzie — ciągle jest czegoś mało, mało pieniędzy — bo kryzys, mało idei — bo ich nie umieją dojrzeć, mało myśli — bo ich sami nie mają, a przecież idzie zawsze o j a k o ś ć — nie o ilość; dziesięcioma przykazaniami obywał się Mojżesz — i wystarczyło na tysiąclecia; zmierzam do tego, że jeszcze w Polsce pokutuje jakiś marny przesąd, że brak jest jakoby programu, że brak jest nibyto wytycznych — że to niby żal mają do Marszałka, że milczy.

Rzecz jasna — tak nie jest; wszystko to co dzieje się u nas znacznego — cała ta konsolidacja społeczeństwa, narastająca z dnia na dzień tężyzna — ma przecież swoje fundamentalne oparcie o wskazania Marszałka, które zsyntetyzowane brzmią:

— P r a c a j a k o e l e m e n t t w ó r c z y (rzekł przecież już Goethe, że praca to genjusz).

— N i w e l a c j a p a r t y j n i c t w a — istnieje tylko jedna ważna partja: dobra służba Ojczyźnie.

— W a l k a o n o w e g o c z ł o w i e k a — człowieka wielkich uczuć, tęgich myśli i wyraźnych czynów.

To byłyby wskazania główne.

Widomym znakiem i rezultatem ich jest cała działalność rządu lat ostatnich, uwieńczona licznemi sukcesami. Lecz czyżby one były możliwe bez wsparcia się o wskazania Marszałka Piłsudskiego? — napewno nie!

Wyrosły one na walce, jaką ten głęboki myśliciel społeczny wydał anarchji, która się gnieździ w duszach polskich.

»I tu mamy do czynienia z prostem zagadnieniem. Przecież ludzie różnie myślący, którzy nigdy nie zdołają przekonać się, aby myśleli jednakowo, mogą znaleźć dla siebie cel wspólny, który wspólnym wysiłkiem będą mogli realizować.

I tu dopiero, kiedy przechodzi się od sporów o zapatrywania do koordynacji wysiłków w kierunku osiągnięcia wspólnego celu, następuje zbliżenie się ludzi idących wspólnie ku jakiemuś wspólnemu celowi, tu następuje przestawienie człowieka z pozycji defenzywnej, obronnej czy wyczekującej, na rolę czynną, aktywną, czynnego zdobywania w życiu tego, co jest jakiemś marzeniem, jakimś zamiarem.

Otóż to właśnie przestawienie człowieka z pozycji biernej na pozycję aktywną w stosunku do życia wydaje mi się, że jest jednem z naczelnych zadań, naczelnych problemów w życiu zbiorowem, w życiu Polski.«

Tak to ujął wierny uczeń Marszałka pułkownik Sławek w mowie swej inaugurującej wielkie dni dwudziestolecia czynu legjonowego,

któremu przewodziła komendantowa wiara we własne siły.

Szesnasta wiosna wstaje z zimowych leży, zielenią się oziminą polskie łany, zbożeje polska praca.

Szesnaście lat radości i oszołomienia! — buduje się wielki gmach Narodu — budują się też temsamem podwaliny pod konsolidację słowiańską i unję słowiańską, która wedle wielkich myślicieli naszych ma być finalnym rezultatem naszego istnienia — wszakże wolno nam — wolnym i silnym marzyć o idącej erze braterstwa ludów.

Lecz to jest przyszłość daleka!

Dzisiaj radosna krzepi i unosi nas praca — czyż za to wszystko, a osobliwie za tę radość, która jest dziś naszym wykładnikiem — nie należy nam świadomie i głęboko kochać i czcić s p r a w c ę wolności, bytu, radości i idącej przez jego mózg i jego serce ku nam przyszłości? Czcimy go też i kochamy, bo udowodnił nam i wiarę w nas przelał i czynem udokumentował, że Polska to wielka rzecz!!

W myśl tych zasad idziemy naprzód zapatrzeni w tę właśnie Wielką Ludową Rzecz!

Dr. STANISŁAW KIPTA

ROZWAŻANIA GOSPODARCZE O WSI POLSKIEJ

UWAGI O MARNOTRAWSTWIE CHŁOPA POLSKIEGO.

Gdy obserwuję z odległości wieś polską i gdy zastanawiam się nad jej przyszłością gospodarczą i rolą w życiu narodu i gdy rejestruję siedząc na bruku miejskim ważniejsze zdarzenia wiejskie, ogarnia mnie smutek.

Bo cóż w ostatnich miesiącach i latach zarejestrowaliśmy?

Co pewien czas wieś przypomina się jakimś przykrym zgrzytem. To jakiś Łapanów, to znów zaburzenia w Rzeszowskiem, to znowu w Limanowszczyźnie. Gdzieś jakiś przedstawiciel starego rodu szlacheckiego rzuca hasło »Święta pracy«, w czasie którego wszyscy ofiarować mają na rzecz swej gminy dzień pracy przy naprawie drogi czy innym dziele publicznem. Wieś odpowiada na to hasło rozruchami. Znowu toczy się długi proces, wykrywający nieprawdopodobny wprost sposób myślenia chłopa, bojącego się w dwudziestym wieku pańszczyzny.

Co pewien czas słyszymy o tem, że na geometrów mierzących pola i przygotowujących scalenie gruntów idą chłopi z kulikami i to właśnie ci, dla których chciało się stworzyć nowy, zdrowy warsztat pracy. W pierwszej zaś linji maszerują kobiety ciężarne, jako ochrona przed policją.

Gdy policzymy nakłady pism i gazet idących na wieś, ogarnia nas wstyd. Mimowoli się rzuca pytanie, po co faktycznie istnieje szkoła powszechna; czy po to, by dziecko chłopskie nauczyło się z trudem czytać i pisać i by później tej zbędnej mu w życiu i niewykorzystanej umiejętności zapomniało. Jeśli zaś się czyta te pisma, któremi się karmi wieś polską, wnet by się wzięło w ręce rózgę i wygnało ze wsi tych handlarzy pełnego nienawiści, zawiści i zła, pustego i bezwartościowego słowa, jak Chrystus wygnał przekupniów z świątyni.

Pamiętam ciekawy fakt zaobserwowany w czasie wyborów do Sejmu w roku 1928. Jeden ze starostów w Zachodniej Małopolsce energicznie przeprowadzał kampanję propagandową za gnojówkami na wzór szwajcarski. Jeden z »dzików« kandydatów do Sejmu, półanalfabeta, nie reprezentujący żadnej wartości moralnej, warchoł, i nie znany zresztą bliżej w okręgu, podniósł, jako swe główne hasło wyborcze, obrony ludu przeciwko tym gnojówkom i zdołał skupić w różnych okolicach okręgu aż 4.000 głosów.

Dzienniki, poza wiadomościami z procesów, przynoszą od czasu do czasu ze wsi najczęściej przykre reportaże.

Jalu Kurek odkrył »Naprawę«, w której przechowuje się z dnia na dzień wodę soloną, by gotować w niej ciągle ziemniaki, bo na nową sól brak pieniędzy. Jan Wiktor w świetnym reportażu ze Szczawnicy, opisuje niedolę dziecka

góralskiego. Zygmunt Nowakowski wywołuje u czytelników sentymentalną łezkę i powoduje wysyłkę darów z miasta dla zbiedzonej dziatwy wiejskiej.

Statystyka zaś podaje nam radosną wieść, że rok rocznie przybywa na wsi polskiej 450.000 nowych obywateli, chcących jeść, chcących się uczyć, żyć i pracować. W mieście bowiem ludności nie przybywa. Tu już bowiem dawno stosuje się system dwojga dzieci, czy też nawet jednego, a nawet żadnego dziecka.

Wieści z gazet o rynkach pracy są coraz nieprzyjemniejsze. Francja jednem pociągnięciem pióra ministra chce się pozbyć kilkuset tysięcznej rzeszy polskiej, która ten sprzymierzony kraj po zniszczeniach wielkiej wojny odbudowała, usuwając z pól druty kolczaste, zasypując rowy strzeleckie i orząc ugory wojenne. Tych ludzi, którzy na tej ziemi zdobyli obywatelstwo pracy i znoju, chce się dziś pod naporem kryzysu pozbyć i odesłać z powrotem, jako niepotrzebny ciężar.

Ciężki jest więc problem wsi i jej położenie jest nie do pozazdroszczenia.

Zachodzi pytanie czy jednak ta wieś w wielu wypadkach nie zawiniła swemu położeniu przez swą biernotę. Czy nie może pójść naprzeciwko temu złu i wziąść się za bary z biedą.

Przypatrzmy się literaturze naukowej, traktującej o wsi polskiej. Do niedawna wieś ta była »nteznanym krajem«. Obecnie sytuacja częściowo się zmieniła. Do odkrycia tego nieznanego kraju przyczynił się walnie Instytut Naukowy Gospodarstwa wiejskiego w Puławach a głównie Wydział Ekonomiki Drobnych Gospodarstw Włościańskich przez wydawanie t. zw. »Bibljoteki Puławskiej«. Mamy w tej Bibljotece najrozmaitsze prace, jak monografje poszczególnych gospodarstw, różnego typu i w różnych stronach kraju oraz plany ich reorganizacji w kierunku dochodowym. Niektóre tomy zawierają budżety pojedynczych gospodarstw, które wyliczają chłopu każde kilo zboża, jajko i litr mleka, oraz każdy grosz wydany na sól czy tytoń. Mamy monografje wsi i powiatów, porównanie wsi scalonych ze wsiami o gospodarce w szachownicy, lub wsi z mleczarnią spółdzielczą ze wsią o gospodarce mlecznej indywidualnej, a wkońcu próby syntezy ogólnokrajowej, badania nad rentownością gospodarstw włościańskich w całej Polsce, zadłużeniem tych gospodarstw, dróg postępu chłopa polskiego itd.

Gdy studjujemy te prace, dowiadujemy się rewelacyjnej prawdy, że chłop polski, przy swej liczbie, przy rozdrobnieniu gospodarstw, jest mimo wszystko kiepskim i marnotrawnym wprost gospodarzem, że produkuje mało i licho, i dlatego dzieci jego nie dojadają i nie mają butów na zimę do szkoły. Dlatego też chłop nie może płacić podatków, nie może inwestować, kupować wyrobów przemysłowych. Nie można też uważać zbiedzonego chłopa za poważny element obywatelski i państwowo-twórczy.

Przypatrzmy się bliżej zagadnieniu.

Przekleństwem wsi polskiej jest szachownica. Mimo małego gospodarstwa chłopskiego, drobny rolnik nie może skutecznie gospodarować na swej roli. Czytamy bowiem w pracy inż. Kasińskiego »W rolnictwie«, że suma odległości od siedliska gospodarstwa do wszystkich parcel w jednym wypadku w powiecie przasnyskim, wynosiła nieprawdopodobną liczbę 911 klm, czyli odległość ze Śląska do Rumunji.

Przeciętnie zaś w Smoleniu w pow. przemyskim musiał przebyć gospodarz 102 km drogi by dostać się raz jeden do wszystkich działek pokolei. Jakże więc chłop polski, który gospodaruje na około 12 miljonach hektarów ziemi znajdującej się w szachownicy ma opanować swój niewielki warsztat pracy, kiedy cała jego energja traci się na lataniu z jednego kawałeczka ziemi na drugi, oddalony o całe kilometry.

Scalenie sprawiło w Smoleniu to, że łączna odległość do wszystkich działek od siedziby gospodarstwa z 102 km zmniejszyła się przeciętnie na 2·5 km, a każdy gospodarz zyskał zgórą 1 hektar ziemi, zaoszczędzony na miedzach i dróżkach.

Nic dziwnego, że później Instytut Puławski wykaże dochód w okresie przedkryzysowym czysty w gospodarstwie scalonem 167 zł na 1 hektarze, zaś przy gospodarstwie w szachownicach i przy więcej parcel dochód ten spada aż do 43 zł z 1 hektara, czyli na jedną czwartą tego, co dało gospodarstwo scalone.

Dlaczego więc chłop polski tak często wychodzi z kulikami na geometrów przygotowujących scalenie? Czy nie należałoby wyjść przed mierników z muzyką jak na wielkie wesele i z otwartemi rękami i sercem?

Ustawa scaleniowa wymaga zgody 50% właścicieli gruntu na scalenie. Jakże jednak trudno uzyskać taką zgodę, przy znanej nieufności i niezdolności chłopa polskiego do śmielszej decyzji.

Aż się prosi zmiana tej ustawy. Bo przecież jeśli ojciec rodziny pije, gra w karty, marnuje majątek rodzinny, wkracza wtedy Sąd i pozbawia marnotrawcę własnej woli przydzielając mu kuratora. Czyż wielu takim typowym, długoletnim marnotrawcom, nieświadomym swego wielkiego grzechu, okradającym przez swe lenistwo i głupotę swój własny, nigdy niepełny brzuch i własne niedokarmione i nieubrane dzieci — nie należałoby dać kuratora, któryby powziął za nich decyzję i wyraził zgodę na scalenie?

Bez scalenia zaś gruntów włościańskich w Polsce nie można mówić o prawdziwej poprawie stosunków gospodarczych wsi polskiej, o dobrobycie, o przyszłości. Wieś w szachownicy, zawsze będzie biedna i niechlujna, zawsze niedokarmiona i głodna, zawsze ciemna, niezadowolona i niepełnowartościowa. Zawsze w niej będzie panował duch pańszczyźniany. Szachownica to największe zło wsi polskiej i największy kryzys, nigdy nie przemijający.

Grzechów marnotrawstwa wsi polskiej poza tym najważniejszym, jakim jest szachownica, jest mnóstwo.

Okazuja się, że chłop jest niewolnikiem konia. Każdy drobny rolnik przez skórę czuje, że koń jest rabusiem gospodarstwa i że zje za półtorej krowy. Żyłka do koni przejęta od szlachty każe jednak chłopu konia chować, czy ten jest naprawdę potrzebny, czy nie.

Koń powinien mieć do obrobienia 20 morgów austrjackich i przy przeciętnej glebie i przy ekstenzywnym systemie rolnym. Gospodarstw takich jednak mało.

Toteż inż. Sajdak w pracy swej pt.: »Reorganizacja gospodarstwa włościańskiego w pow. wadowickim« wylicza gospodarzowi na 6·44 hektarowem gospodarstwie stratę na koniu w 1928 r. na 433·54 zł, mimo, że koń ten dość intensywnie pracował u obcych. Prace innych autorów »Bibljoteki Puławskiej« również dochodzą do wniosków, że koni wieś polska ma nadmiar.

Radzą znawcy u mniejszych gospodarzy używanie do pracy krów. Okazuje się również, że chłop polski jest marnym hodowcą bydła.

Inż. Sajdak wylicza temu samemu gospodarzowi, że utrzymanie krów małomlecznych (1.125 litrów rocznie i przy cenie mleka 30 gr w r. 1928), przy trzech sztukach przyniosło gospodarzowi stratę 246 zł. Oczywiście autor policza koszt paszy, ściółki i obsługi (230 zł rocznie), oprocentowanie kapitału itd.

Do podobnych rezultatów doszedł inż. Dziedzic w wartościowej monografji pt.: »Stan gospodarstw włościańskich w powiecie wadowickim«, bo wylicza w r. 1925 przy krowie o mleczności 1.250 litrów po 25 gr i 50 gr dziennie obsługi stratę 184 zł. rocznie. Oblicza jednak, że o ileby rolnik swą krowę karmił lepiej kosztem 60 zł, uzyskałby większy dochód z mleka o 150 zł. Wówczas gospodarz otrzymałby za swą pracę już 88 zł rocznie.

Cyfry będą inaczej wyglądać w okresie kryzysu, tak po stronie rozchodów jak i dochodów. W każdym razie można z całą pewnością stwierdzić, iż prawdziwem marnotrawstwem jest hodowanie małomlecznego bydła. Na wieś powinno się iść z hasłem: »mniej ogonów krowich, a więcej wymion«.

Nie zwraca też także nasz rolnik dostatecznej uwagi na kurę w gospodarstwie.

Drobny gospodarz z Daniłówki w powiecie Ostrów Mazowiecki, Stanisław Sienicki, autor nagrodzonej przez Instytut Puławski pracy pt.: »Gospodarstwo na piaskach«, radzi czemprędzej uciąć łeb kurze, o ile nie znosi 100 jaj rocznie.

Inż. Sajdak wylicza, że przy 15 kurach znoszących po 70 jaj rocznie i przy policzeniu jedynie 15 zł rocznie za obsługę i przy cenie 16 gr za jajko, gospodarz ma jedynie 48·94 zł rocznie dochodu.

Wszyscy autorzy z Bibljoteki Puławskiej zlecają rewizję stosunku drobnego rolnika do kury i hodowli drobiu.

Marnuje olbrzymie ilości zboża drobny rolnik nie używając siewnika rzędowego i stosując jedynie siew rzutowy.

Inż. Dziedzic oblicza, że przy siewniku można zaoszczędzić na siewie na 1 hektarze 34 kg pszenicy, 72 kg żyta, 61 kg jęczmienia lub 76 kg owsa.

Jeden powiat wadowicki na braku siewników traci zgórą 300.000 zł rocznie.

Rzuca się w oczy potrzeba pokrycia wsi gęstą siecią spółek maszynowych.

Palącą kwestją dla wsi polskiej jest sprawa przechowywania obornika. Inż. Dziedzic oblicza roczne straty skutkiem złego przechowywania obornika w pow. wadowickim na 920.000 zł, przyjmując różnicę wartości obornika między złem a średniem przechowaniem na 28 zł od dorosłej sztuki bydła.

Według prof. Bujaka, cała Polska traci na wartościach azotowych przez złe przechowanie obornika z górą 700 miljonów zł rocznie.

Czy przy tych liczbach nie warto rozpocząć intensywnej propagandy budowy wzorowych gnojowni na wzór szwajcarski? Drobny rolnik traci również na indywidualnej gospodarce mlecznej. Inż. Sowiński w pracy swej »Rybna i Kaszów, wsie pow. krakowskiego«, porównując wieś posiadającą mleczarnię spółdzielczą ze wsią o indywidualnej gospodarce mlecznej dochodzi na podstawie cyfr z r. 1925 do wniosku, że spółdzielcze spieniężanie w stosunku do indywidualnego jest o 22½% lepsze.

Sam zbadałem wpływ mleczarni spółdzielczej w Pawłowicach na Górnym Śląsku i stwierdziłem, że mleczarnia potrafiła w roku 1930 podnieść cenę mleka z 18 gr. na 24 gr. na litrze.

Inż. Powierza oblicza w roku 1929 ilość ziemi wymagającej meljoracyj rolnych na 19 miljonów hektarów, a koszta na 11 miljardów złotych. Zagadnienie z braku kapitałów wydaje się na pozór nie do przeprowadzenia. Kryzys przekreślił wiele obliczeń i wiele planów. Wiele spółek wodnych ugina się pod ciężarem drogiego kredytu.

Należałoby może wybrać przy meljoracjach inny kierunek niewymagający dużo kapitałów, a tylko dużo pracy. Mamy już pewne przykłady, jak należy meljorować w Polsce. W powiecie ostrołęckim i ostrowskim do regulacji dwóch bagnistych rzek stawało dziennie po 5.000 zainteresowanych włościan z łopatami i zdobyło przez regulację kilkadziesiąt tysięcy morgów łąk i pastwisk dla kultury rolnej. Czytaliśmy w dziennikach, że jedna z wsi w powiecie częstochowskim wykopała 42 klm. rowów otwartych. Jeden z sołtysów w radomskiem otrzymał krzyż zasługi za to, że zorganizował przekopanie dziesięciu klm. odwadniających rowów otwartych. W «Gospodarzu Polskim« niedawno czytałem, że ludność powiatu kolnieńskiego w latach 1929/30 systemem szarwarkowym na swych zabagnionych łąkach przeprowadziła 30 klm. kanałów i rowów odpływowych, co przeliczone na gotówkę przedstawia wartość 200 tysięcy złotych. Prof. U. J. Dr. inż. Różański w Nr. 51 i 52 »Zagrody Wzorowej« — »Przewodnika Kółek Rolniczych« przekonuje nas, że nawet drenowanie w okresie kryzysu się opłaci i że taka lokata kapitału własnego i niepożyczonego jest dobra.

Ciężkie są więc grzechy wsi. — Tem cięższe one są, bo skutki odbijają się na jej dzieciach, na dobrobycie, przyszłości i wartości obywatelskiej chłopa i życiu całego kraju.

Znany pisarz ekonomiczny i działacz śp. Stanisław Szczepanowski w pracy swej pod tytułem »Nędza Galicji« pisze: »Mamy mało roli, mało pieniędzy ale ludzi poddostatkiem, tyle, że dotychczas nie wiemy co z nimi zrobić. System dobrego wychowania z ciężaru zamieni ten ciężar na bogactwo«.

W tej nadziei uwagi moje przeznaczam głównie dla zorganizowanej młodzieży wiejskiej. Byłoby moim gorącem życzeniem, by w jej gronie powstał masowy pęd do buntu przeciwko biernocie wsi, wstrzymującej ruch kulturalny, przeciwko nieróbstwu i ciemnocie i dążenie za światłem i postępem.

Zorganizowana młodzież, dobrze wychowana w życiu organizacyjnem, przechodząca konkursy rolne, nie dopuści w przyszłości do marnotrawstwa w swych warsztatach pracy i grzechy ojców na ojcowskim zagonie naprawi.

JÓZEF CHUDY

O PRZODOWNIKACH WSI

Wydaje mi się, że sprawa przodowników wsi, to sprawa młodzieży przedewszystkiem. Rozwijający się masowo w Polsce ruch młodzieży wiejskiej wymaga obecnie mocnej podbudowy w postaci zapewnienia temu ruchowi odpowiednich kadr przodowników, którzy podjęliby się pogłębienia pracy organizacyjnej i przyczynili do wzmocnienia tego ruchu od strony

ideologicznej. Trzeba więc przemyśleć to zagadnienie wśród samej młodzieży, czy to na zebraniach dyskusyjnych, czy też na łamach odpowiednich pism, jak w tym wypadku »Wsi«, której to sprawie również ma służyć nasze pismo. Takie postawienie sprawy stanowić będzie pierwszy i zasadniczy krok na drodze do realizowania zadania wysunięcia na czoło sprawy młodzieży wiejskiej — naszych rodzimych, bardzo żywotnych sił. Bo jeśli weźmiemy pod uwagę tradycję wsi, jaką mamy w dziedzinie rozwoju życia, to naprawdę przekonamy się, że trzeba całą siłą poprzeć ten stosunkowo słaby jeszcze w Polsce ruch młodej wsi. Chłopi, prości ludzie wsi, w całej masie swojej instynktownie, a tem samem rzeczowo, ponad wszelką wątpliwość prą do coraz to doskonalszego bytowania tutaj na ziemi w każdej dziedzinie. Szerzej rzecz biorąc, stanowi to nieprzepartą wprost siłę naszego bytu narodowego i społeczno-państwowego, jeśli weźmiemy pod uwagę liczebność mas wiejskich. Stanowa mądrość chłopska w odniesieniu do życia i jego rozwoju sprowadza się zasadniczo do wiary we własne siły przedewszystkiem. Cały swój byt chłopi oprzeć starają się na własnej poradności; źródła własnego dobra upatrują na swojej dziedzinie, co im ta ziemia-matka użyczy za ich wstawiennictwem t. j. pracą w pocie czoła. Czy nie stanowi to najzdrowszego poprostu poglądu na sprawę urządzenia naszego bytu państwowego? Jak lawina jakaś potężna prze i przeć będzie masa ludu wiejskiego w kierunku dobra wszelkiego. I na tej orjentacji wsi trzeba budować ruch młodej wsi, ruch naszej przyszłości społeczno-państwowej.

A w tej chwili chodzi o to, ażeby to parcie ku lepszemu jutru pogłębić i uczynić więcej skutecznem. W tym wypadku wieś na czoło swego pochodu wysunąć musi najlepsze jednostki, przednich jakgdyby oraczy, by dzieło tej świętej sprawy rzetelnie czynili, siejbę zdrowego ziarna akuratnie dokonywali, baczną uwagę zwracali na okres wzrostu i dojrzewania, i by wreszcie szczęśliwego sprzętu dopełnili. Oto jest rola przodowników wsi, mają być jej przednimi oraczami! Świętą sprawę stanowią wiejskie masy ludowe; ziarno zdrowe, to kultura ludowa; wzrost, dojrzewanie i sprzęt są zrozumiałe same przez się. Ważna to sprawa i nie taka prosta, bo chodzi tu o najprzedniejsze jednostki, które trzeba wyłowić z mas, trzeba je odnaleźć. Ale jak i kto je ma szukać? Bo musimy sobie zdawać sprawę, że przodownikiem trzeba się urodzić, trzeba mieć wrodzone ku temu zdolności. Przedewszystkiem przepatrzeć musimy szeregi zorganizowanej młodzieży i to od dłuższego czasu próbującej sił swoich na niwie pracy społecznej. Na pierwszy rzut oka będą to entuzjaści pracy społecznej, t. j. takie jednostki, które duszą całą oddane są sprawie swojej organizacji. Przodownicy życia wsi, to przywódcy duchowi młodych gromad wiejskich, to kierownicy masowej pracy samowychowawczej i samokształceniowej wśród młodzieży w pierwszym rzędzie: pracy twórczej i pięknej dla Rzeczypospolitej Polskiej przedewszystkiem. Ile gromad w Polsce, tyle przodowniczych jednostek wysunąć się musi na czoło ruchu młodzieży wiejskiej; by działalność ta stać się mogła powszechną, bo od powszechności ruchu młodzieży zależy przyszłość wsi, przyszłość Polski.

Następną rzeczą w sprawie przodowników jest ich kształcenie, które najlepiej może być rozwiązane na drodze samouctwa. Na tej drodze dadzą się osiągnąć najlepsze rezultaty. Jeśli teraz chodzi o zorganizowane kształcenie przodowników wsi, to rolę tę spełniają najlepiej Wiejskie Uniwersytety Ludowe typu internatowego. Są to specjalne zakłady, które temu celowi służą; mają za zadanie kształcenie przodowników życia wsi. Rokrocznie w W. U. L. odbywają się kursy męskie i żeńskie, które trwają od 4 do 6 miesięcy. Na tych kursach słuchacze i słuchaczki w zespołach po 30 do 35 osób wespół z wykładającymi przepracowywują całokształt zagadnień związanych z życiem wsi. Tak postawiona sprawa przodowników załatwia, mojem zdaniem, postulat pogłębienia pracy w szeregach organizacyj młodzieży wiejskiej.

Dr. WŁADYSŁAW ŻYŁA

Poniższy artykuł jest jednym z ostatnich jakie ś. p. Dr. Żyła napisał. Zastępom działaczy ludowych ubył szczery i głęboki entuzjasta, gorliwy pracownik, nieustępliwy ideowiec, człowiek głębokiej wiedzy i nauki. Był jednym z tych, którzy troskę i umęczenie chowają dla siebie — dla innych mają tylko uśmiech i dobrą myśl.
Cześć Jego pamięci! *REDAKCJA.*

CHŁOPI A POWSTANIE STYCZNIOWE

Historja oficjalna dla przeszłości wsi polskiej i chłopów niezbyt była łaskawą do lat ostatnich. O udziale chłopów w życiu naszego państwa i narodu nie wiele a nawet zgoła nic nie można się było dowiedzieć z podręczników historji i naukowych dzieł historycznych. Nie więcej też można było usłyszeć na różnych wykładach, wygłaszanych uczenie z wysokości profesorskich katedr.

Przytrafiało się też czasem historji, że zbyt pochopnie uogólniano niektóre fakta i na ich podstawie budowano i wydawano sąd krzywdzący chłopów. Za osądem historji szła nieraz literatura piękna (nie mająca zresztą obowiązku kontrolowania historji pisanej i dociekania prawdziwości historycznych faktów) i tak to nieprawda historyczna rosła i umacniała się.

Takie uwagi cisną mi się do głowy na wspomnienie ostatniego powstania t. zw. powstania styczniowego. Pośpieszono się z sądem i skrzywdzono chłopów okropnie. Strasznie wyszli chłopi nawet z utworów Żeromskiego: »Rozdzióbią nas kruki, wrony« i »Wierna rzeka«. Nawet Marja Jehanne Wielopolska w swej prześlicznej opowieści o roku 1863 p. t. »Kryjaki«, w której bardzo dużo ostrej i ciętej prawdy wypaliła klerowi i szlachcie w obrazie zatytułowanym: »Kartoflane frasunki« — pisze, że... »Chłopi w samym Królestwie 98 powstańców wydali władzom rosyjskim«. Czy ich wyłapali i wydali 98, czy też mniej czy więcej, tego nie wiem. Z podręczników historji wiem i pamiętam, że we wsi Sołowjówce pod Kijowem chłopi wymordowali 8 maja 1863 r. oddziałek młodzieży, który rozdawał im t. zw. »złotą hramotę« i ogłaszał uwłaszczenie przez powstańczy Rząd Narodowy. Do niedawnego czasu sąd czy opinja o stosunku chłopów do powstania styczniowego były mniej więcej takie: chłopi mordowali powstańców, wyłapywali ich i wydawali Moskalom.

Najbardziej łaskawy i względny dla chłopów był sąd, że wobec powstania zachowali się biernie. Dopiero prof. Uniw. Jana Kazimierza we Lwowie Dr Adam Szelągowski, opracowywując do wydawnictwa »Polska, jej dzieje i kultura«, okres powstania styczniowego, sprostował bardzo wiele rzeczy i o zachowaniu się chłopów w r. 1863 wydał sąd całkiem inny. Bajeczki o wyłapywaniu przez chłopów powstańców i wydawaniu ich Moskalom bodaj pierwszy wprowadził do historji p. Walery Przyborowski w swej książce »Dzieje 1863 roku«, wydanej w Krakowie w r. 1897 i w Warszawie w r. 1917. Przyborowski, autor popularnych książeczek-opowieści historycznych dla młodzieży, dość łatwo dał się wprowadzić w błąd i bezkrytycznie zawierzył Moskalowi Pawliszczewowi, który w formie raportów bajeczki takie opisywał dla cara. Pawliszczew pisał rzeczy miłe dla carskiego ucha, a Przyborowski skwapliwie to powtórzył, nie zadając sobie trudu, żeby stwierdzić, ile też jest prawdy w książce Pawliszczewa »Sedenicy polskago miateża« i czy Pawliszczewowi można wierzyć. Polski historyk i literat powtórzył bajki za Moskalem.

Gdyby ktoś dzisiaj wzorem Przyborowskiego chciał pisać prawdopodobne i też czasem na prawdziwym fakcie oparte bajeczki o zachowaniu się kleru i szlachty w czasie powstania, to zarzut, kierowany dotąd przeciwko chłopom, możnaby odwrócić na kler i szlachtę. Prawdą bowiem jest, że Paweł Popiel, współtwórca obozu konserwatystów (partji klerykalno-szlacheckiej) w Galicji doradzał Moskalom, względnie Wielopolskiemu i W. Ks. Konstantemu, łapać powstańców zapomocą chłopów. Była to rada chytra. Powstańców wyłapałaby szlachta chłopskiemi rękami i ona dostałaby za to od Moskali nagrodę, a przed społeczeństwem pol-

skiem możnaby powiedzieć, że to przecież zrobił ciemny lud wiejski, szlachta była i jest patrjotyczna i gotowa zawsze za Polskę walczyć. P. Wielopolska w »Kryjakach« opowiada, że p. Popiel chciał się tylko w ten sposób zrewanżować W. Ks. Konstantemu za to, że wielki książę przyjął dla swego synka mamkę Polkę, ale to już widać złośliwość p. Wielopolskiej, czułej może na punkcie szafowania polskiem mlekiem!

Gdy zaś chodzi o kler, to prawdą jest również, że obok bohaterów jak ks. Brzóska i ks. Mackiewicz znaleźli się tacy szubrawcy podli jak ks. Tomaszewski, który z ambony wzywał chłopów do mordowania i łapania powstańców, obiecując za to nagrodę pieniężną. Ale takich jak proboszcz ks. Tomaszewski, ks. Szulc, biskup Szymański było mniej, były to służalcze jednostki, podczas gdy ogół kleru gorąco agitował na rzecz powstania. Inaczej zresztą wobec powstania styczniowego zachowała się stolica apostolska i papież Pius IX, aniżeli w r. 1831 papież Grzegorz XVI. Gdy Grzegorz XVI kazał Polakom »czcić cara i modlić się«, to Pius IX w r. 1862 rozumiał, że Polakom potrzeba karabinów i armat.

Odpowiedzmy sobie teraz na pytanie: Jak zachowali się chłopi w roku 1863 i czy brali udział w powstaniu?

W nocy 22 stycznia 1863 r. porwało za broń i poszło do powstania zaledwie parę tysięcy (4500—6000), a i w tej liczbie większość ogromną stanowili chłopi i ludność miejska i dopiero za ich plecami zbierała się szlachta i pod osłoną tych pierwszych szeregów chłopsko-mieszczańskich organizowała się i tworzyła właściwa armja powstańcza. Z ówczesnego województwa krakowskiego czyli dzisiejszych południowych powiatów województwa kieleckiego, organizację powstańczą zasiliło przeszło 3000 chłopów (w czasie od października 1863 r. do lutego 1864 r.). Bardzo licznie garnęli się do powstania chłopi z dzisiejszego województwa warszawskiego (szczególnie w powiatach: warszawskim, włocławskim i gostyńskim) w Augustowskiem i Sandomierskiem; nie sprzeniewierzyli się swej pięknej tradycji z poprzednich powstań Kurpie, a już na Podlasiu, Litwie i Żmudzi powstanie było powstaniem ludowem, chłopskiem.

Tylko dzięki pomocy chłopów udało się przetrzymać powstanie zimą 1863/64 i gdyby nie chłopi, to nie wiadomo, czy na Podlasiu i w Sandomierskiem powstanie zdołałoby się utrzymać w ciężkim okresie zimowym. Członek Rządu Narodowego (powstańczego) w zeznaniach w więzieniu podawał..., »że byłoby niemądrze utrzymywać, iż chłopi gorzeli patrjotyzmem i byli chciwi wojny«, ale usposobienie włościan było najlepsze, jakiego w danych warunkach mogliśmy oczekiwać.

Nietylko nie zdradzali nikogo, nie zniewoleni do tego gwałtem, nietylko dostarczali podwód i wszystkiego bez wynagrodzenia, nietylko nieśli pomoc, niejednokrotnie ukrywali, ostrzegali przed grożącem niebezpieczeństwem, lecz w wielu miejscowościach zbierali między sobą dobrowolne składki, wielu z nich służyło w żandarmerji (co wymagało ślepej wierności), a co najważniejsze, coraz częściej i gęściej ukazywali się w charakterze wolontarjuszów (ochotników). »...Słowem usposobienie włościan wobec rewolucji było bardzo przychylne...« (Oskar Awejde: Zeznanie t. IV, str. 52. Te zeznania przytacza też prof. Szelągowski: »Polska, jej dzieje i kult«, zeszyt 67, str. 406). Inny znowuż członek Rządu Narodowego Agaton Giller (i to z obozu białych czyli szlachty) w tomie I »Historji powstania narodu polskiego w 1861—1864 r.« opowiada, że na Podlasiu i Litwie tworzyły się oddziały powstańcze samych chłopów Bitisa, Pajduka, Szymańskiego i innych, których Moskale przeważnie powywieszali.

Możnaby jeszcze na świadectwo powołać rozkazy Traugutta; szczególnie charakterystyczny jest jego rozkaz z 18 grudnia do generała Hauke-Bosaka i z dnia 17 lutego 1864 r. do komisarza Rządu Narodowego w Poznańskiem. Dodać jeszcze wypada, że do powstania garnęli się chłopi nietylko z Królestwa. Szli też i z innych dzielnic, z Poznańskiego, a nawet i Kaszubi, i ci ostatni szli z twardym, chłopskim uporem o własnych środkach, nie chcąc przyjąć na drogę ani pieniędzy ani też w drodze podwód. ...»Za najem nie idziemy się bić, ...dajcie nam broń, o resztę się nie kłopoczcie«... Szło ich tak od samego Bałtyku z pod Gdańska, zwarta i twarda

kompanja 200 chłopa, szli sami bez dowództwa, ...»ot, biedny chłop-Kaszuba, pośmiewisko obcym i własnym rodakom ... (oczywiście wtedy, nie dzisiaj) powiada o nich p. J. Łukaszewski w swej książce: »Zabór pruski w czasie powstania styczniowego.«

Streszczając odpowiedź na postawione pytanie przytoczę jeszcze zdanie prof. Szelągowskiego, który w zeszycie 67, str. 395 wydawnictwa »Polska, jej dzieje i kultura«, tak pisze: »...Włościanie, chociaż w masie swej pozostali bierni, użyć się jednak przeciw powstaniu przez Moskali nie dali. Tam, gdzie walka dłuższy czas przetrwała, usposobienie ich zaczęło przechylać się nawet na stronę powstania. Jak się potem okazało, w żadnem z dotychczasowych powstań, nawet Kościuszkowskiem, lud liczniej i samodzielniej nie wystąpił, niż w powstaniu styczniowem. O tem świadczyć będą oddziały ks. Mackiewicza na Żmudzi, ks. Brzóski na Podlasiu, a nawet i oddziały samych chłopów, jak Bitisa, Pajduka, kowala Szymańskiego na Podlasiu i innych, których Moskale przeważnie powywieszali...«

Czem wytłumaczyć ten tak piękny stosunek chłopów do powstania oraz tak liczny w niem udział? Prof. Szelągowski, który przestudjował całą dotychczasową literaturę o powstaniu, oraz wszystkie dotąd znane i dostępne materjały źródłowe, jest zdania, że stało się to na skutek ogłoszenia przez Tymczasowy Rząd Narodowy zaraz 22 stycznia 1863 roku — a więc w chwili wybuchu powstania — dekretu o uwłaszczeniu. Tak też twierdzi Oskar Awejde.

Coprawda trochę inaczej na tę kwestję zapatruje się prof. U. J. W. Sobieski, który w II t. str. 130 »Dziejów Polski«, powołując się i cytując odnośny ustęp Pamiętników innego znowuż członka Rządu Narodowego J. K. Janowskiego, który był sekretarzem Rządu Narodowego i przez jakiś czas dyrektorem — czyli jakby ministrem — wydziału wojny), powiada, że chłopi nie bardzo wierzyli w dekret o uwłaszczeniu i jego wykonanie, mówiąc: »...jak to już dawniej bywało (za Kościuszki), a potem nic nie dali...« (słowa Janowskiego). Wydaje mi się atoli, że więcej słuszności ma profesor Szelągowski. Trzeba bowiem pamiętać, że Rząd Narodowy starał się przestrzegać i pilnował, by dekret o uwłaszczeniu był wykonany. Znaleźli się również dowódcy i naczelnicy wojenni, jak Piotrowski Józef w Augustowskiem i Zygmunt Chmieleński w Krakowskiem, którzy nie bali się użyć batoga na tych panów-braci — szlachty, którzy nie chcieli uznać dekretu i podporządkować się jego postanowieniom. Bywało, że publicznie wobec chłopów kazywali batożyć tę szlachetną część ciała szlacheckiego, która się znajduje poniżej krzyża, a której się głośno nie nazywa. Chłopi mieli zatem namacalne i widoczne dowody, że Rząd Narodowy bynajmniej nie żartuje, jeśli chodzi o uwłaszczenie, w razie oporu, tam gdzie trzeba, zabiera się do szlacheckiej skóry.

Kończąc tak demagogicznie mój artykuł-gawędę na temat: »Chłopi a powstanie styczniowe«, chcę go zamknąć prostodusznem wyznaniem, że umyślnie i celowo starałem się wyszukać i przytaczam najbardziej jasne momenty z udziału chłopów w powstaniu. Chodziło mi nietylko o pokrzepienie młodych serc chłopskich wspomnieniem pięknych i jasnych momentów z naszej przeszłości i utwierdzeniem się w wierze, że w walkach o niepodległość brała udział nietylko szlachta, inteligencja i mieszczaństwo, ale walczyli także chłopi, czyli cały naród, a każda warstwa dawała taką daninę krwi i mienia, na jaką ją stać było i jak ówczesne stosunki i warunki pozwalały. Chodziło mi może więcej o to, że skoro się mówi, iż chłopi mordowali powstańców, wydawali ich Moskalom i t. d., to warto także wiedzieć, że częściej bywało inaczej i to jak inaczej! A chociaż przytaczam przykłady na najbardziej jasne momenty i fakta, to otwarcie przyznaję — stawiam sprawę całkiem jasno i prosto i piszę, dlaczego to robię.

Z ręką zaś na sercu mogę zapewnić wszystkich, że wszystko co napisałem jest rzetelniej prawdziwe, niż to co np. o chłopach w r. 1863 opowiedział p. Walery Przyborowski, a za nim jeszcze niektórzy inni historycy, politycy i powieściopisarze; można mi zawierzyć na kredyt, a jeśli kto nie chce, niechaj skontroluje przytoczone fakty i wskaże mi błędy, a będę mu wdzięczny, bo fałszować historji ani nie mam zamiaru, ani ochoty. Jak również naciągać historji dla pewnych nawet pięknych i wznio-

słych celów. Uważam, że historja powinna być i pozostać vitae magistra, a nie życie nauczycielką historji, czyli naopak.

Wierzę zaś, że szereg bohaterów chłopskich z okresu walk o niepodległość, tak wspaniale zapoczątkowany przez Bartosza Głowackiego, w r. 1863-65 powiększył się nieodwołalnie o nowe nazwiska, takie jak: Bitis, Pajduk, Szymański, a przedewszystkiem o śliczną postać ks. Brzózki, wikarego z Sokołowa na Podlasiu, który przecież z ludu pochodził i przez lud i z ludem Polsce i Jej Sprawie ofiarował się służyć — i służył.

KAZIMIERZ FORYŚ

WIEŚ I CHŁOPI W LITERATURZE

W świadomości polskiej byt i ziemia — to pojęcie jedno. Nie może inaczej czuć ani myśleć naród, w którym zgórą siedemdziesiąt procent ludności żyje z ziemi.

Nie inaczej też wyczuwają to i wyrażają w swojej twórczości wszyscy ci nasi pisarze (i inni twórcy), którzy wyrastają z ziemi. Poezja tych synów narodu, mówiąca o ziemi i człowieku, żywot swój z ziemią splatającym, jest żywa i zdrowa, prosta i silna, ważna i własna, bo wyrasta z autochtonicznej konieczności pieśnienia, z nakazu i naporu, jaki wywiera na myśl twórczą każdego narodu rodzimość i rasa.

Ta poezja, skuta z narodowym bytem przez rolnika, pracę siejby, niepokój czekania i radość plonu, nietylko mówiła o trudach lub weselach chłopa, nietylko opowiadała o przemianach wplecionej w pory roku ziemi — ta poezja również walczyła bez przerwy od Janickiego po Kasprowicza i walczy po dzień dzisiejszy o prawdy ziemi i o prawa pracującego człowieka.

W swoim historycznym rozwoju nawraca polska myśl twórcza razporaz do wartości ludowych — i nie nadarmo, ziemia zapładnia tę myśl ciągle. Ludowość była i jest źródłem nowych odkryć i tematów. Ona to w chwilach upadków literatury, wyrażających się suchym pozytywizmem lub wyrafinowanem przeestetyzowaniem, staje się pożywką zdrową i odczuwaniem rzetelnem. Ilekroć znużona i wyczerpana sztuka dotykała tych strun tkwiących pod siódmą skibą rodzimego odczuwania, tylekroć zakwitała młodą krasą. Ożywała, zmartwychpowstała. Bo ziemia ma w sobie cudotwórczą moc odrodzeń i przetworzeń.

Ludowość dostarczała i dostarcza bądź motywu, który poeta ożywia własną treścią, bądź też dostarcza treści już skonkretyzowanej, którą twórca porządkuje i harmonizuje albo wypacza i zniekształca. Zależy to od tego, czy ludowość jest dla twórcy żywą potrzebą serca, czy też twórca poluje tylko na t. zw. tematy ludowe i uprawia flirt z ziemią oraz jej najbliższym mieszkańcem. Flirt taki może być sentymentalny lub radosny, zależnie od nastawienia i epoki.

Flirt sentymentalny opierał się na fikcji, że człowiek niezarażony kulturą był lepszy. Stąd wzięły się w literaturze sielankowe ględzenia Filonów, dekoracje z baranków i księżyców.

Flirt radosny — to znowu próby malowania charakteru chłopa na podstawie cech zewnętrznych, dojrzanych mimochodem. Takie bajecznie kolorowe obrazki ludowe produkowało się serjami, według utartych szablonów. Parę pawich piór lub pięknie cyfrowane portki góralskie, pasiak zpod Łowicza lub konik huculski, trochę zepsutej gwary, temperament wybijany podkówkami. Z tego całego, nierzadko egzotycznego folkloru wywodziło się jeszcze czasem z czystem sumieniem sąd, że chłop jest dobry i poczciwy, bo jest wesoły.

Sprawy tu poruszone — omówimy obszerniej w następnych artykułach.

DODATEK LITERACKI

MARJAN KUBICKI

Modrzewinowa pieśń

Modrzewiu, strzelisty modrzewiu,
coś się tak zasumiał,
sięgając wysoko ku niebu
zielenią na zielono zdumiał,
szyszkamiś się zdziwił
modrzewiu, modrzewiu staruszku,
przecież żeś już widział i rozumiał /wszystko.

Modrzewinowy las,
modrzewinowe igły,
przyszedł ten czas,
że się sucharem staniesz
chociażbyś nie chciał nigdy —
życie się twoje ino mignie.

Modrzewinowe, modrzewinowe liście,
czy się to kiedy, czy się to kiedy ziści? —
że się zieloność wszędzie w sercach stanie,
wspólna miłość, wzajemne ukochanie.

GUSTAW MORCINEK.

BOMBA W MIASTECZKU

Miasteczko nad rzeką było ciche i bogobojne.

Ludziska chadzali sypiać prawie że z kurami, w gospodzie nie przesiadywali zbytnio, a jedyny gospodzki, stary Fafuła naprawiał zegarki i wyprawiał skórki królicze. Miasteczko leżało w dolinie. Po jego lewej stronie sączyła się rzeka, przyczyna wielkiej radości chłopców, umiejących łapać lalce do kosza a raki do dłoni, na rynku zaś rozsiadła się szeroko kamienna czyszczarnia, z której wracające krowy z pastwiska chłodną wodę cyckały, a mieszczki nogi myły.

Obcy ludzie rzadko zaglądali do miasteczka nad rzeką. Jedynie na święto Kalasantego, patrona miasta, schodziły się procesje z okolicznych parafij, przyjeżdżali piernikarze, czasem przybłąkali się kudłaci cyganie ze szczerbatym niedźwiedziem na łańcuchu, a czasem także przyplątał się jeden i drugi kuso ubrany pan z plecakiem, co ich to pełno włóczy się w niedzielę po groniach.

Zezowaty Warzecha, stary policjant miejski, niewiele miał do roboty. Za dnia przeważnie wygrzewał się pod ratuszową ścianą, w zimie zaś przesiadywał u gospodzkiego Fafuły przy piecu. W nocy miał spokój, bo w miasteczku nie było złodziei, ani żadnych inszych złych ludzi.

Cisza była w miasteczku. Ludziska nie miewali żadnego zmartwienia. Czasem tylko bywało dużo plotkowań, gdy któraś dziewczyna wychodziła zamąż, lub gdy któryś z mieszczan swoje imieniny u Fafuły do późnej nocy uroczyście obchodził. To było wszystko. Chyba jeszcze i wtedy powstawał rozruch w miasteczku, gdy się komuś krowa ocieliła.

Ludzie rodzili się, żyli, na chleb pracowali, jak umieli, i umierali. Starowina proboszcz grzebał ich na cmentarzu pospólnie z kopidołem.

To znaczy, ksiądz proboszcz odprowadzał nieboszczyka na cmentarz i modlił się, kopidoł zaś kopał mogiłę i zasypywał ją. Zbytnio się nie śpieszył. I tak na każdego przyjdzie kolej. Poco się śpieszyć?

W takiem miasteczku żył także Francik Przybyłów. Przez długie lata chadzał w zroślokach z tradycyjną chusteczką ztyłu, uganiał się po rynku, puszczał okręty papierowe po czyszczarni, łapał raki w rzece do dłoni, w szkole uczył się pracowicie abecadła, a kiedy trochę podrósł, ojciec wysłał go na naukę do Cieszyna. Synek pobył trzy lata w dalekim Cieszynie, a kiedy wrócił do dom, umiał beczki robić. Małe, duże i jeszcze większe. Już sama ta rzecz wystarczyła, żeby wzbudzić ogromny zachwyt i podziw wśród mieszkańców. Godzinami wystawali przed warsztatem Przybyły, przypatrując się ciekawie, w jaki to wymyślny sposób powstaje beczka. Cmokali językami, głowami kiwali i co raz jeden drugiego przekonywali, że to jednak jest ogromna sztuka taką beczkę zmajstrować.

— A jako to jest przydajno wiec! — potakiwali drudzy. — Kapusty sie nałoży, udepce i już. Albo i te ogórki zakisi!...

— Bai i na piwo może się przydać! — dorzucił Fafuła.

— Na wszelico!... — zauważyli insi.

I odtąd każdy z dumą spoglądał na Przybyłowe obejście, gdzie Francik siekierą ciupał i postukiwał, pogwizdując se niefrasobliwie.

— Wiecie ludeczkowie złoci!... — mawiali wszędy. — Terazykej mómy bednorza naszego. Fajne beczki bydzie miało miasto. Ani Cieszyn, ani insze miasto takich beczek ni mo!...

Francik zaś tylko dłonie zacierał i radował się, że takie poważanie zdobył sobie w mieście.

— Poczkejcie jeny — mawial do swoich kolegów — jak jeny cosi niezadługo zmajstruję, to jeszcze barzi bydom sie dziwili ludziska!...

Rychło się rozniosło po mieście, że Francik zamierza coś niezwykłego zmajstrować, czego jeszcze oko ludzkie nie widziało, ani o czem ucho ludzie nie słyszało.

— Co też to może być? — pytali się znowu jeden drugiego.

— Pónbóczek mogą wiedzieć!... Chyba jaką paść na szczury, lebo co!...

— Lebo chlewik na króliki!...

— Albo też co inszego!...

— Ale co też? Co?

Francik tymczasem majstrował pokryjomu. Zamknął się wieczorem w izdebce i dłubał coś w drzewie, i zbijał, i klepał, drutował, przykręcał. Ojciec próbował dowiedzieć się, cóż też to będzie. Francik jednak nie zdradził swej tajemnicy. Kiedy odchodził do warsztatu, zamykał tamto »coś« do trówły, a klucz zabierał z sobą. A tymczasem po mieście zaczęły chodzić słuchy, że Przybyłów Francik coś ze złyduchem szachruje, bo cóżby inszego!... Zamyko się po nocach, okna kocami zasłania, kęs do nocy siedzi, światło pali i coś czaruje!... Jeszcze to może jakie nieszczęście na miasto sprowadzić, lebo co!...

Przyszła niedziela. Ludzie poszli wszyscy do kościoła. Francik został doma. A kiedy wszyscy wysypali się z kościelnych dwierzy i na rynek wyszli, oniemieli w pierwszej chwili z zadziwienia. A potem wdyrdy zaczęli biec ku Przybyłowemu domu, przeciskać się, na palce stawać. W oknie widniała jakaś niewielka trąba, z której sączyła się prawdziwa muzyka.

— Hy, to jest gramofon!... — krzyknął wkońcu jeden z obecnych. — W Cieszynie taki gromofon widziołech pod Modrą Gwiozdą!... Prowda, staro?!...

— Hale psiniec, nie gramofon! — zaprotestował Fafuła. — Gramofon to ma taką trówełkę, na kierej się zwyrce taki czorny talerz, a przy tej trówełce tyrczy ruła. A tu widzicie, że ruła stoi sama na oknie, a trówełki nima!... To bydzie cosi inszego!...

— Prowcie, prowcie!... A parcie, od tej ruły jakieś druty idą do izby!... Kiż czechmón też to może być?...

— Ale posłuchejcie, jak to pieknie gro!... Posłuchejcie!...

— Farona, ani kapela od landwery cieszyńskiej tak nie growała!...

— Cicho bydźcie, nie bulczcie tela, bo nic nie słyszeć!...

Ucichli wszyscy i zasłuchali. Z głośnika sączyła się skoczna muzyka. Żywa, tętniąca życiem, zadzierzysta, nieciła w słuchaczach ogień, podrywała z sobą, w oczach płomienie rożegała. Niedługo trwało, a wszyscy zaczęli do taktu przytupywać obcasami, głowami kiwać, rękami machać. A kiedy muzyka się skończyła, u wszystkich był widoczny żal, że jej niema.

Fajno muzyka! — odezwał się ktoś, lecz nie skończył, bo w tej samej chwili z głośnika wyskoczył głos ludzki, gruby jakiś, trochę chrapliwy.

— Kiż djasi?... — zacudowali się wszyscy.

— Kiery to mówił?...

— Jezusku święty!...

— Uciekajcie ludkowie!... Bo to z djabłem!... — wrzasnęła jakaś babinka przerażona i rzuciła się do ucieczki.

Zanim jednak reszta poszła w jej ślady, tamten cudaczny, tajemniczy głos ustał, a w te pędy z głośnika posypały się dźwięczne perełki muzyki. I znowu wszyscy otworzyli usta i dech w sobie wstrzymali, nie mogąc się nadziwić słodkiej melodji fletu i skrzypiec. A równocześnie w oknie ukazała się głowa Franciszka. Uśmiechnięty wychylił się do ludzi.

— Cóż to mosz za pieroństwo? — zapytał Fafuła.

— Prowda, że to jest gramofon? — wtrącił Szczyrba.

— To nie jest ani żodne pieroństwo, ani gramofon, ale...

— Ale co?

— Ale radjo!...

— Radjo?... Radjo?... Cóż za radjo?...

— Jakżech stary, nigdych jeszcze coś podobnego nie słyszoł?

— Cóż ty pleciesz Franciszku?...

— Radjo!... — powtórzył Francik. — Taki przyrząd, co sóm gro.

— Sóm gro, powiadosz?

— Sóm!... To gro w Warszawie, a tamte druty na dachu tę muzykę chytają, skludzają do aparatu, a z aparatu do głośnika i gro!... Słyszycie?...

Odtąd powstało zamieszanie okropne w miasteczku. Ludzie zbierali się u Fafuły, na ulicach, pod oknem Przybyłowego mieszkania i zastanawiali się głęboko nad cudacynym instrumentem, co na druty łapie muzykę w powietrzu a potem do głośnika ją sprowadza i cuda czyni. Jedni twierdzili, że to z djabłem robota, drudzy zaś, bardziej światlejsi, przyprzypuszczali, że tak temu nie będzie, ale, że w każdym razie niesamowity to jakiś przyrząd. Równocześnie zaczęto szukać po gazetach, które zamawiał jedynie pan aptekarz, co też to może być. Wkońcu dowiedziano się, że tak temu istotnie, jak mówił Francik. Radjo i nic więcej.

Ludzie stopniowo zaczęli się zżywać z nowym cudem, chętnie zbierali się pod oknami Francika, słuchali z nabożeństwem muzyki i różnych odczytów i chwalili przemyślność chłopca. Niedługo jednak to trwało. Pewnego razn gruchła po mieście wiadomość, nie wiedzieć skąd przybłąkana, że takie radjo, to wielce niebezpieczna rzecz, bo jego antena, rozwieszona na dachu, ściąga pioruny w czasie burzy.

— Jezusku święty, to powiadocie Warcyngo, że pierón może uderzyć do takiej chałupy?

— A może!...

— O, jej kany!... To sie może miasto wypolić!?...

— A może!...

— Mój Bożyczku święty!... Mój ty kandy!...— zaczęto odtąd biadolić w celutkiem mieście. I przerażente padło na miasto. Znowu zaczęto zbierać się po ulicach i u Fafuły, i znowu zaczęto się głęboko zastanawiać, coby tu uczynić, żeby się pozbyć z miasta tamtego pieroństwa — jak mawiano. Co tylko który spotkał starego Przybyłę, ojca Francika, starał się go przekonac, że powinien skłonić synka do zdjęcia anteny z dachu, jeżeli nie chce mieć na sumieniu nieszczęścia i pożaru w mieście.

— Bo co wóm powiem, to wóm powiem Przybyło, że pierón jeny roz wyrznie w wasz dach i już bydzie po paradzie. Całe miasto się wypoli i koniec. A co wtedy?...

I tak długo nanukano na Przybyłę, że wkońcu przekonano go. Kiedy synek ciosał dągi w warsztacie i wesoło se pogwizdywał, stary Przybyła przystawił drabinę do dachu i w asyście połowy miasta zrzucił antenę na ziemię.

A kiedy chłopak powrócił wieczorem do izby, nastało piekło. Wynik był ten, że stary Przybyła odpiął pasek od spodni i synkowi skórę wygarbował. Potem poszedł do Fafuły.

— Musiołech mu nacinkać — mówił sąsiadom — bo zaczął wydziwiać, że aż chruza. Bo podziwejcie sie, sąsiedzie Posłołech synka do Cieszyna na naukę, a on nauczył się, to jest prowda. Nauczył sie beczki robić. Ale przytem skamracił sie tam z jakimś judoszem i takię djobelstwa do chałupy mi przysmyczył. Mocie słuszność!... Człowiekby sie ani nie nazdoł, jakby pieron do chałupy strzelił. A co potem?...

Wszyscy mu przytakiwali i tłumaczyli naprzebieżki, że dobrze uczynił.

Tymczasem Francik przez kilka dni chodził zawieszony i zły, jak ciernie. Wkońcu jednak udobruchał się. Nic nie mówiąc ojcu, w największej tajemnicy wyciągnął druty na strychu. Od jednego hymbałka do drugiego. Potem wywiercił sporą dziurę w powale nad swoją izdebką, przeciągnął przez nią koniec anteny i znowu zaczął wieczorami wygrywać przy otwartem oknie. I znowu spadł popłoch na miasto. Widmo grożącego pioruna prześladowało każdej chwili spokojne miasteczko. Po nocach wychylano głowy z okna i śledzono, czy nie zbierają się chmury na niebie, by w razie burzy być przygotowanym na wszelkie nieszczęście. I znowu usilnie zaczęto przekonywać starego Przybyłę, że powinien raz nareszcie zakazać synowi igrania z piorunami. I przekonano go ponownie. Stary Przybyła uczynił to samo, co poprzednio. Wyszedł na strych, antenę zerwał z poddasza, dziurę w suficie zatkał kołkiem i zbyte.

Francik zaciął się jednak w uporze. Kiedy mieszczanie z ulgą wspominali na minięte niebezpieczeństwo i powoli zepominali o wszystkiem, pewnego dnia po raz trzeci rozleciała się wieść po mieście, że Francik znowu tamto djabelstwo naprawił i znowu gra. Teraz już postsnowiono uczynić temu koniec po wszystkie czasy. Kilku najbardziej poważnych obywateli wybrało się z deputacją do samego pana burmistrza. A kiedy stanęli przed jego zatłuszczonem obliczem, uderzyli w wielki lament i narzekanie, domagając się usilnie zapobieżenia nieszczęściu.

— Panie burmisterku!... Nie robią głupoty, jeny patrzą, żeby już temu jaki koniec położyć!... Nie robią głupoty!...

— Bo od czego są burmistrem, hę?... Od czego?... Od tego, żeby miasto chronić od wszelijakiego zła i wszystko!...

— Tóż ludeczkowie złoci... powiedźcie mi, co jo biedno dusza móm zrobić? — zakłopotał się gruby burmistrz.

— Tamte druty ściepać mu z dachu, a ten aparat spolić na rynku!...

— Lebo w Olzie utopić!...

— Bo to z djabłem jakisi szachrajstwo!...

— Ale dyć on ni mo drutów na dachu!... — próbował oponować burmistrz.

— Ale mo!... Na warsztacie je mo. Na dach wysmyczył pore beczek bez dna, jedną do drugiej przystawił, a przez ich postrzodek przeciągnął tamte druty, żebychmy je nie widzieli, i gro, jak grywoł. A z nas robi błozna!... — skarżyli się mieszczanie.

— Kaj gro?

— No, jako prawiem. W warsztacie se gro przy robocie!...

— Panie burmisterku, robią już roz z tem porządek, bo inaczej na drugi roz nie wywolimy ich burmistrem!... Bydom widzieć!...

Burmistrz polękał się tej groźby.

Nazajutrz strąbiono straż pożarną. Zebrało się siedmiu strażaków w wyczyszczonych hełmach, ustawili się w długi szereg, zaopatrzyli w drabinę, a na ich czele stanął sam pan burmistrz, mający po prawicy policjanta Warzechę i z taką paradą ruszyli w kierunku warsztatu Francikowego. Za nimi zaś cisnęła się gromada bab i dzieci, mieszczanie znów naprzód pośpieszyli, żeby wszystko przygotować do zapowiadającej się uroczystości.

Przyszli nareszcie. I mimo gwałtownych protestów Francika strażacy wygramolili się na dach, zrzucili stamtąd ułożone próżne beczki, antenę zwinęli, poczem pan burmistrz w towarzystwie policjanta Warzechy wszedł do warsztatu, wziął tamtą cudaczną skrzyneczkę w dłonie i wyniósł na podwórze.

Francik płakał ze złości w kącie, ludziska zaś radowali się co niemiara i chwalili wniebogłosy mądrość swego burmistrza. Potem całą procesją ruszono na most nad Olzą. A tam, na środku mostu, pan burmistrz ujął czarną skrzynkę i buch! z nią do plosa!... I już było po paradzie.

Teraz nareszcie nastał spokój i uciszenie w mieście. Płoszony sen wrócił zpowrotem, ludzie już się nie lękali piorunów, a wszyscy bez przerwy chwalili swego burmistrza za jego mądre postanowienie.

Francik zaś obmyślał zemstę. Tak długo, aż ją wymyślił.

Pan burmistrz siedział jeszcze w kancelarji. Już było późno. W mieście prawie już wszyscy spali, cisza była ogromna, tyle jeno, co ten deszcz monotonnie bębnił po dachach i chlupotał w kałużach na rynku. Pan burmistrz siedział za biurkiem i mozolił się nad ogromnym papierem, na którym wypisywał jakieś podanie do starostwa w sprawie mostu, który była Olza w czas ostatniej powodzi ukradła. Warzecha zaś drzemał na odwachu. Nigdy tego nie czy-

nił, lecz w wypadkach, kiedy pan burmistrz siedział w ratuszu, musiał czekać na jego wyjście, żeby bramę zamknąć.

Na ratuszowym zegarze wydzwoniło już godzinę dziesiątą, kiedy nagle Warzechę zbudziło gwałtowne bicie w szybę okna. Zerwał się z ławy, przetarł oczy, przypasał prędko krzywe szablisko do boku i wybiegł z odwachu.

— O Jezusku!... — wrzasnął przerażony. Jakby go ktoś kamieniem zdzielił po łysinie. Tuż pod progiem czerni się jakaś mała czarna skrzynka z drobną rurką, a z rurki wybiega sznur na próg bramy, a na jego końcu ogienek pełza!...

— Maryjko święto! — krzyknął jeszcze raz Warzecha i jak żbik skoczył w kierunku pełzającego ognika. Przeżegnał się, zamknął oczy i szybko przydeptał płomyk. Pociemniało mu w oczach. Ze wzruszenia osunął się na posadzkę, a patrząc teraz na zwęglony koniec sznura, uprzytomnił sobie to okropne niebezpieczeństwo, które jakiś zły człowiek, zbrodniarz, Ondraszek skończony, zgotował niewinnemu miastu. Toć to bomba!... A ten sznur, to lont!... Jezusku święty!...

— Burmisterku!... Panie burmisterku!... — zaczął się wydzierać wniebogłosy, kiedy trochę przyszedł do siebie. — Panie burmisterku!... Bomba!... Jezusku święty, bomba!...

Zagruchotały schody szybkiemi krokami, przed Warzechą stanął wytrzeszczony burmistrz.

— Co wrzeszczycie, Warzecho! Jużeście zaś sie strąbili u Fafuły i robicie krawal?... Bo jutro...

— Panie burmisterku!... Bomba!... Podziwają sie, bomba!... — wrzasnął Warzecha, blady jeszcze z przestrachu, z obłąkaniem w zezowatych oczach. — Bomba!...

— Kaj bomba?

— Oto leży!... Jezusku, dają pozor, bo puknie, a wtedy im może noge urwać, lebo co!...

Burmistrz spojrzał za trzęsącym palcem Warzechy, i, jakby piorun koło niego wyrznął, jednym susem odskoczył ku przeciwległej ścianie.

— Maryjko święto!... Mogę rzec!... Bomba!... wymamlał zduszonym głosem, dygocąc pod ścianą. — A to lont!... Do luftu nas kierysi pieron chcioł wysadzić wroz z ratuszem i ze mną!... Jezusku!...

— Burmisterku, co teraz?... Co teraz... To puknie... głowe nóm urwie!... — zaskomlił Warzecha.

Burmistrz oprzytomniał. Obchodząc na palcach złowieszczy przedmiot, stanął w progu, i siląc się na powagę i spokój, rozkazał:

— Warzecho, już gzujcie do chałupy po trąpete, a strąbić wszystkich ludzi!... Ale chonym!... A jo tu dóm pozór, żeby bomba nie pukła!...

— Burmisterku! a jak puknie!... — zatrwożył się płaczliwie Warzecha.

Burmistrza obleciało zimne mrowie. To prawda, jak pęknie, co potem?... Przełknął z trudem ślinę. Wzdrygnął się. Zdawało mu się, że już widzi, jak bomba rozpryskuje się z przeraźliwym hukiem, jak go płomienie porywają wgórę, jak głowa jego leci ponad wieżą, nogi zaś rozlatują się po rynku... Jezusku roztonajmilejszy!...

— Burmisterku, a jak puknie!... — zbudził go z przerażenia kwilący bełkot Warzechy.

— No, jak puknie, to mie nie bydzie!... Jo tu jest burmister od tego, żeby zginąć w obronie miasta i jego mieszkańców!... — rzekł z namaszczeniem. — Idźcie już, a róbcie, jakożech wóm naporęczył.

A kiedy Warzecha pokusztykał do domu po trąbkę alarmową, burmistrz usunął się za węgieł ratusza i jednem okiem zerkał na tajemniczą bombę, w której śmierć przyczajona siedziała. A co raz ocierał z łysiny zimny pot i wzdychał ciężko. Nogi pod nim dygotały i całą mocą wysilał się, by nie drapnąć za Warzechą i nie ukryć się pod pierzyną. Skrzyneczka lśniła się niesamowicie złowieszczą czernią pod progiem odwachu, szary lont zaś pełzał po kamieniach posadzki, jakby jakiś wąż potworny, który lada chwila odewrze dokorząt straszną paszczę i całe miasto schłonie wraz z jego burmistrzem.

Niedługo czekał na Warzechę. Przez nocną ciszę rozwalił się chrapliwy lament alarmowej trąby. Długo, płaczliwie. W mieście wszczął się rumor. Okna zaczęły się z trzaskiem otwierać, rozbłyskiwały światła w mieszkaniach, ludzie wybiegali w bieliźnie na ulicę, przerażeni, dopytujący się jeden drugiego, co się to stało, czy się gdzie pali, lebo co, a Warzecha nic, jeno trąbił. Wydął policzki w ogromne czerwone pęcherze, dmuchał w ustnik, co miał siły, zataczał trąbą szerokie kolisko, podnosił ją wysoko i dął! Wszystek swój strach i przerażenie wkładał w lamentujący bek instrumentu.

(Dokończenie nastąpi).

KRONIKA

W PIERWSZYCH DNIACH b. m. odbył się w Tarnowie wielki wiec małorolnych, na którym, między innemi, wygłosił znamienny referat b. min. Kwiatkowski, świetny autor niezmiernie ciekawych »Dysproporcyj«.

Referent, przeszedłszy w długim, rzeczowym wywodzie dzieje rolnictwa w całej Polsce w okresie zaborów i wojny — oświetlił stosunki istniejące obecnie w wolnej Polsce i w innych państwach, podając za przyczynę kryzysu — przedewszystkiem brak solidarności i wzajemnego zaufania wśród drobnych rolników. Przechodząc do wskazówek programowych — podkreślił znaczenie chłopskiego rozumu, który musi zdziałać, iż nastawienie Polski winno iść w kierunku wsi i chłopa.

Wreszcie mowca wezwał zebranych, by wytężyli siły w kierunku organizowania wsi i stwierdził, że przyszłość chłopa — to przyszłość Polski.

W KOŃCU WRZEŚNIA 1933 R. ogłosił instytut gospodarstwa społecznego konkurs na pamiętnik chłopa. Nadesłano 500 odpowiedzi. Do konkursu stanęły wszystkie dzielnice polskie, najliczniej województwa środkowe (254 pamiętniki), południowe (153 pamiętniki). Mniejszą liczbę pamiętników nadesłano z województw zachodnich (59) i z województw wschodnich (50). We województwach środkowych pamiętniki pochodzą ze wszystkich niemal okolic, gdyż tylko około 10 procent ogólnej liczby powiatów nie jest reprezentowanych w zebranym przez instytut materjale.

OSTATNI NR. »MŁODEJ WSI« Z DN. 15 b. m. jest, jak zwykle, ciekawy i bogaty. Zwracamy uwagę na artykuł »W dniu imienin Wodza«, na artykuł »Rycerski ton w naszej przeszłości chłopskiej«, który jest przeddostatnią pracą ś p. Dr. Władysława Żyły (ostatnią Jego pracę drukujemy w niniejszym nrze »WSI«), oraz na rzewny i piękny w prostocie swej wiersz M. Kubickiego, poświęcony nieodżałowanemu Żyle. Obfity i barwny jest dział sprawozdawczy, świadczący o żywej, wytrwałej pracy zielonej gromady.

PRZED PARU TYGODNIAMI wystąpił w Warszawie z porankiem autorskim Stanisław Młodożeniec. Przed zgórą dziesięciu laty debiutował Młodożeniec w Krakowie jako poeta awangardowy, futurysta. Zwrot w twórczości Młodożeńca oznacza nagrodzona przed kilku laty nowela (drukowana w »Czasie«). Pierwszorzędne walory artystyczne, świetna obserwacja życia chłopa, zwróciły wtedy uwagę na młodego autora. Obecnie zapowiada Młodożeniec nadchodzącą zmianę twórczości literackiej w Polsce przez nawiązanie kontaktu z ziemią i oparcie się o psychikę chłopską. Witamy te słowa z radością!

JUŻ WKRÓTCE WYJDZIE Z DRUKU trzeci zkolei tom poezyj Marjana Kubickiego p. t. »SOSNOWE SŁOWA«, składające się z części:

1. »Błękitny las.«
2. »Zamknięte drzwi.«
3. »O nieprawdziwem zdarzeniu słowa proste.«
4. »Sosnowe słowa«
5. »Rzecz o wódce, bezsensie, miłości i smutku.«

W KAŻDYM ZESZYCIE »WSI« ukazywać się będzie »Dodatek literacki«. W miarę rozwoju pisma starać się będzie Redakcja skupić na łamach »dodatku« wszystkich pisarzy, którym zagadnienia wsi i kontakt z ziemią są bliskie. Już dzisiaj wzywamy was poeci i pisarze wsi do współpracy. Idąca ludowa Polska potrzebuje nowego słowa, nowej poezji, nowych natchnień.

GUSTAW MORCINEK, autor »Bomby w miasteczku» — to znakomity pisarz śląski; wielką sławę zyskała mu powieść p. t.: »Wyrąbany chodnik». Morcinek jest wiceprezem Śląskiego Związku Młodzieży Ludowej. W młodości był górnikiem — twardą i żmudną pracą dobił się zasłużonej sławy.

JAKO OZDOBY NA OKŁADKĘ użyliśmy reprodukcji drzeworytu rzeźbiarza ludowego (świątkarza) Jędrzeja Wowra. Ilustracja przedstawia wedle słów Wowra »jakto światłoś ciemności zwycięzo«.

KOMITET REDAKCYJNY: Prezydjum Małopolskiego Związku Młodzieży Ludowej: Józef Chudy, Kazimierz Maj. Józef Stożek. Wydawca i Redaktor naczelny Emil Zegadłowicz. Redaktor odpowiedzialny: Michał Baścik.

REDAKTOR PRZYJMUJE w poniedziałki od 12-tej do 14-tej.

SEKRETARJAT CZYNNY w poniedziałki, środy i piątki od 12-tej do 14-tej.

CENA poszczególnego zeszytu »WSI« **50** groszy.

Prenumerata roczna **5** złotych.

Czcionkami Drukarni Związkowej w Krakowie, ul. Mikołajska L. 13, pod zarządem Józefa Dziubanowskiego.